

Moje trzy wina z Siulą



Moje trzy wina z Siulą

Krzysztof Ruciński
(Symeon Ruta)

Jirafa Roja
Warszawa 2008

© Copyright by Krzysztof Ruciński, 2008

© Copyright by Jirafa Roja, 2008

Redakcja: Łukasz Gołębiewski
Korekta: Marta Brzozowska
Rysunek na okładce: Mariusz Nowak
Projekt okładki: Ruta&Nowak
Zdjęcie autora: Carmela Iscla
Łamanie: Tatsu 
tatsu@tatsu.pl
Druk i oprawa: Sowa – druk na życzenie
www.sowadruk.pl

Zdjęcia pochodzą z kolekcji prywatnej autora.

ISBN 978-83-61154-04-4

www.jirafaroja.pl

Wydanie I
Warszawa 2008


jirafa roja

Spis treści

Od autora	9
Niezapowiedziana wizyta.	11
Rok wilka	23
Gwałt	51
Eli	61
Wino I	143
Grażynka	153
Wino II	235
Modliszki	247
Wino III	277
Pocałunek na powitanie	281

*Oddaj mi moje ciało, jest moje, jest moje
To nie jest rzecz, z którą zrobić byś mógł, co chcesz
Moje ciało jest święte
To właśnie w nim żyję*

Pier Paolo Pasolini, *Calderón*

Czytelniku!

Zbiór, jaki trzymasz w tej chwili w dłoni, nie powstał wczoraj, ani nie został napisany w przyływie nagłej twórczej euforii. Najstarsze opowiadanie pochodzi z lat osiemdziesiątych, najnowsze ukończyłem w zeszłym roku i trudno mi już dzisiaj prześledzić, a przede wszystkim wytłumaczyć, mechanizmy i emocje związane z ich tworzeniem. Jak każdy, przeszedłem długą drogę tylko po to, by stać się tym kim jestem obecnie; styl oraz tematy moich opowieści ilustrują być może kilka etapów mojego życia. Nie jest to jednak autobiografia, ani historia efemerycznego zespołu, jaki przez lata współtworzyłem. Na pewno nie historia obiektywna, raczej moja własna wizja tego kim byłem gdzieś i kiedyś, jeśli nim kiedykolwiek byłem.

Nie spodziewaj się znaleźć w tej książce cennych encyklopedycznych informacji lub sensacji ze świata muzyki. Mimo iż osadzone w jednym czasie i zamkniętej (geopolitycznie) przestrzeni, moje opowiadania są literacką fikcją, tworzoną na bazie realnych przeżyć z perwersyjną przyjemnością i premedytacją. Jedyna prawda, jaką chciałem w nich przekazać to prawda o kruchości naszych uczuć oraz iluzorycznej naturze długiej serii snów i urojeń, które — z braku lepszych pomysłów — nazywamy życiem. Jest to też hołd złożony pewnej epoce, pewnemu miastu i pewnej dzielnicy, a także ludziom, którzy zdawali nam się niezbędni i niezastąpieni, a którzy już nigdy do nas nie powrócą.

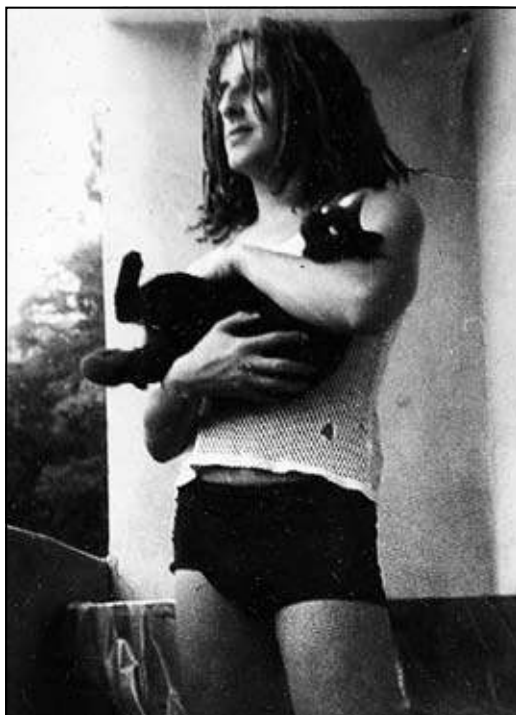
Historie, jakie za chwilę zaczniesz czytać, mogą wydać ci się brutalne, cyniczne, niemoralne, masochistyczne, narcystyczne i pełne bezwstydnego ekshibicjonizmu. Zapewne takie są. Kluczem do ich zrozumienia, akceptacji, do swobodnego poruszania się w ich gęstej i często zamglonej atmosferze jest personalna wizja polskiego społeczeństwa lat osiemdziesiątych wraz z jego paradoksami, hipokryzją i długo nie spełnianymi nadziejami. Nie ma w nich jednak żadnej politycznej ambicji, ani moralnej czy socjalnej misji, raczej prosta nadzieja, że gdzieś z gęstwiny liter, spomiędzy znaków, pauz i linii wyłania się pytanie o drogę, o metodę, o decyzje jakie każde z nas musi samotnie podejmować wessane w próżnię własnej wolności.

Chciałbym dedykować ten zbiór naszym wszystkim pięknym zmarłym, których mam nadzieję choćby na chwilę obudzić: Agnieszka Łotkowska, Polo, Mariusz Kujawa, Dresiak, Janek Wiliszewski, Kochany, Paweł Wilecki, Rysiek Sarbak, Dave i Stéphanie z Montrealu oraz Mirek Breguła (który sam był świadkiem śmierci Kujawy w naszym koncertowym autobusie!) powinni czuć się zaproszeni. Nie mogę zapomnieć o kolegach z zespołu, którzy będą musieli przetrwać moją subiektywną wizję kilku wydarzeń w jakich sami uczestniczyli, ani o Siuli, którego uznałem za autentyczny symbol naszej dzielnicy, jaka — na dobre i na złe — uformowała mnie blisko trzydzieści lat temu.

Przed wszystkim jednak, chciałem dedykować tę książkę mojemu ojcu. On zawsze wierzył, że spośród wszystkich szkodliwych i nieistotnych rzeczy, jakimi się w życiu zajmowałem, pisanie było tą najmniej nieistotną i najmniej szkodliwą.

Krzysztof Ruciński,
Montreal, kwiecień 2008

NIEZAPOWIEDZIANA WIZYTA



*Dla Jarka i Kasi, którzy byli ze mną
tamtego upiornego grudniowego poranka.
Pamięci Pussy i Wilfreda Bammenhoffa.
Dla mojej Mamy.*

Doktor powoli, leniwie, dokładnie opłukiwał ręce brudne od ropy i śliny pod strumieniem gorącej wody. Przyglądał się swoim palcom, różowym i pulchnym, śledził bieg błękitnych żył rysujących pod skórą przedramienia niewyraźną mapę tętniących rzek. Myślał o psie, który na pewno zdechnie tej nocy z milczącym żalem w oczach, kiedy usłyszał jęk żeliwnej furty podwórza i poprzez pomalowaną na białą szybę ujrzał zarys zbliżającej się męskiej sylwetki. Oszklone drzwi przedsionka uchyliły się bezszelestnie i, wraz z mroźnym powiewem niosącym wirujący kłębek błyskawicznie topniejącego śniegu, do gabinetu wsunął się miękko młody mężczyzna z dużą torbą turystyczną w ręce. Doktor natychmiast zakręcił kurek i chrząknął, szykując głos do rozmowy po kwadransie milczenia, w jakim trwał od wyjścia ostatniego klienta. Wycierał dłonie w białą szmatkę służącą jako ręcznik i przyglądał się obojętnie młodemu człowiekowi, który uważnie zasunął za sobą drzwi, jak gdyby bojąc się wtargnąć zbyt brutalnie w senną atmosferę ambulatorium.

Był to młody chłopak — nie miał jeszcze dwudziestu lat — ubrany w jeansową kurtkę stalowego koloru i szare spodnie pokryte ledwie widocznym geometrycznym wzorem. Przybysz zmarszczył nos, uderzony zapachem psiego strachu i uryny, którą doktor wytarł ze stołu tuż przed jego nadejściem, po czym podeszedł do szerokiego biurka pod oknem i opuścił torbę na krzesło bardzo delikatnym, czułym wręcz, ruchem.

— Dzień dobry — powiedział cicho, rzucając szybkie spojrzenie przez okno, za którym świt rozpraszał ciemność i odsłaniał powoli ulicę pokrytą brudną warstwą mokrego śniegu. — Nie wiem, czy nie przyszedłem za późno.

— Nie, właśnie przed chwilą skończyłem zabieg — odparł doktor spokojnie i dopiero po chwili dotarła do niego dwuznaczność zdania, jakim chłopak rozpoczął rozmowę. Chrząknął raz jeszcze, kryjąc zakłopotanie i zapytał:

— Co tam mamy? Pieska? — ruchem głowy wskazał torbę, delikatnie poruszającą się na krześle.

— Nie. To kotka. Chodzi o zabieg sterylizacji. Mama dzwoniła do pana przedwczoraj.

Twarz doktora przeciął szeroki uśmiech, choć pod tym grymasem kryło się kolejne zakłopotanie. Nie pamiętał żadnej kotki, ani telefonicznej rejestracji, podszedł jednak do biurka i z udaną obojętnością przerzucił palcami kilka kartek w kalendarzu. Zmarszczył brwi.

— Kotka, kotka, kotka, kotka... — powtarzał w zamyśleniu. — Cóż, musiałem zapomnieć zanotować.

Dawno przekroczył już pięćdziesiątkę i jego pamięć bywała zawodna, pierwszy raz jednak zdarzyło mu się nie zanotować umówionej wizyty w kalendarzu, który zawsze stał na biurku obok telefonu; wydało mu się to co najmniej dziwne. Chrząknął po raz trzeci i chciał powiedzieć coś na ten temat, w oczach chłopaka ujrzał jednak bolesny błysk, lękliwy nakaz, prośbę, która zamknęła mu usta i kazała podejść do blazanego stołu na środku gabinetu.

— Wyciągnij ją z torby i daj tu, na stół — powiedział krótko.

Chłopak odsunął zamek błyskawiczny jedną ręką, drugą chwytając czarną główkę, która natychmiast wychyliła się z ciemnej pochwy i, trzępiąc uszami, lękliwie wpatrywała się w swojego pana.

— Spokojnie, spokojnie — szeptał chłopiec, wyciągając kotkę z torby za kark, jak iluzjonista łowiący gołębice z kape-

lusza. Prawą ręką podtrzymawał kota od dołu, za podwinięty ogon i tylne łapy, w ten sposób przeniósł go na stół i zamarł w oczekiwaniu, nie wypuszczając z dłoni puszystego karku. Doktor z podziwem przyglądał się pięknej samicy o gęstej, czarnej sierści, długim ogonie i żółtych, przenikliwie patrzących oczach. Kotka miauknęła i zwinęła się w kulkę, zniewolona lękiem i pewnym chwytem pana. Nie wrywała się, jakby w instynktowny sposób rozumiejąc konieczność takiego postępowania. W czasie, gdy doktor przygotowywał zastrzyk usypiający, chłopak czule głośko kota po stroszącym się futerku i szeptał do ucha niedosłyszalne zaklęcia, mające rozluźnić napięte nerwy pupila.

— Przytrzymaj ją teraz mocno. Koty lubią się wrywać przy zastrzykach — polecił weterynarz, po czym natarł sierść na grzbiecie kotki watą nasączoną spirytusem i energicznym ruchem wbił igłę w miękką skórę na wysokości lędźwi zwierzęcia. Kotką wstrząsnął gwałtowny dreszcz bólu, a z jej krtani dobiegł długi, przeszywający skowyt. Doktor ostrożnie dociskał tłoczek strzykawki, przez plecy przeszła mu jednak niepokojąca fala chłodu. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, iż chłopak przez cały czas wpatruje się w jego twarz, że czuje na swoich powiekach — mając wzrok opuszczony na grzbiet zwierzęcia — intensywne, natarczywe spojrzenie pełne napięcia i nieufności.

Dostrzegł coś dziwnego w twarzy tego chłopca. Długie, ciemne włosy, nie czesane i nie myte chyba od dawna, pozbiłjane miał w cienkie skołtunionie strąki. Żółte światło jarzeniowych lamp brzęczących pod sufitem, w połączeniu z szarą barwą budzącego się dnia, dawało jego cerze niezdrowy odcień, a całości obrazu dopełniały drobne kobiece dłonie i żółtozielone oczy, w senny sposób upodabniające chłopaka do kota, którego przyniósł.

— Ile lat ma kotka? — zapytał doktor przyjaźnie, szykując drugą dawkę leku, nie udało mu się jednak zupełnie rozluźnić głosu.

— W marcu skończy cztery — padła swobodna odpowiedź.
— Rodziła już nie raz. Czasem dwa razy w roku.

Chłopak, gdy mówił, sprawiał wrażenie bardzo młodego; zaniedbane paznokcie i ciemny meszek pod nosem potwierdzały tę ocenę.

— Tak tak... Tyle kłopotu z tymi małymi — mrucał doktor jakby do siebie, wbijając igłę po raz drugi. Tym razem poszło mu znacznie lepiej, mimo iż kot znów zaskowyczał, a chłopak nie spuszczał wzroku z jego czoła, patrząc uparcie i przenikliwie.

Zapadła cisza. Kotka trzymana silnym chwytem właściciela zasypiała powoli, raz po raz wstrząsana gwałtownymi drgawkami, a doktor schował strzykawkę do pojemnika i przygotowywał miskę z narzędziami na stoliku pod ścianą. Chłopak rozluźnił uścisk dłoni i kotka oparła głowę o blat stołu, opadając bezwładnie na lewy bok. Teraz obydwaj czekali bezczynnie, stojąc twarzą w twarz po przeciwnych stronach stołu, z uwagą przyglądając się zasypiającemu zwierzęciu.

Cóż to za dziwny poranek, myślał doktor, spoglądając z ukosa w okno, czy dzisiaj w ogóle się nie rozjaśni?

Zegar na biurku tykał głośno, a dwaj mężczyźni przy stole wymieniali między sobą krótkie spojrzenia nie napędzane niczym szczególnym, obojętnie przerzucali wzrok z kota na siebie, z siebie na okno, z okna na plakaty zdobiące seledynowe ściany, na wielką szachownicę psich portretów wiszącą nad drzwiami prowadzącymi na zaplecze, na szkice koni na przeciwległej ścianie, by wreszcie powrócić do siebie nawzajem i czarnej kotki nieruchomiejącej na stole.

Doktor dotknął palcami szyi zwierzęcia i poczuł nagły zawrót głowy. Ciało kota było sztywne i chłodne, a oczy powoli znikwały pod mleczną błonką zachodzącą na wąskie jak paznokcie czarne źrenice. Musiał wykonać jakiś niekontrolowany gest, gdyż chłopak, przyglądający się dotychczas biurku na którym doktor utrzymywał pedantyczny porządek, odwrócił

gwałtownie głowę i oparł się obiema rękami o stół, pochylając lekko w stronę doktora.

— Coś nie tak? — zapytał krótko.

Coś było nie tak, mimo iż rutynowa procedura, jaką zastosował przy usypianiu zwierzęcia weterynarz, była prosta i nienaganna. Osłabiony organizm, może jakieś ukryte schorzenie; pewne było, że kotka umierała, pozwalała umykać życiu, niezdolna teraz do utrzymania go epileptycznie rozedrganymi łapkami.

— Cholera! Cholera, co jest?! — zaklął doktor pod nosem i szybkim ruchem sięgnął do miseczki po małą strzykawkę ze środkiem pobudzającym. — Co jej jest?

Chłopak patrzył na kotkę ze spokojem. Jego oczy wyrażały chłodne zainteresowanie, lekkie napięcie zdradzały tylko pulsujące przy zaciśniętych szczękach mięśnie. Wodził martwym wzrokiem za dłońmi doktora, który właśnie wyciągnął strzykawkę z szyi zwierzęcia i napełniał ją po raz drugi.

Niebezpieczna huśtawka, myślał weterynarz, najpierw kota za dobrze uspić, a potem budzić go końską dawką. Kolejnego szoku może nie wytrzymać serce. Czuł, że obecność chłopca mu przeszkadza. Wolałby pozostać sam ze swoją pacjentką lecz wiedział, że nie może wyprosić go teraz za drzwi. Pałące spojrzenie gościa paraliżowało ruchy doktora, chociaż nie po raz pierwszy w wieloletniej praktyce zaskakiwała go nieprzewidziana reakcja zwierzęcego organizmu.

Co będzie, jeśli nie wytrzyma, roztrząsał w myślach. Przecież to tylko kotka, była za słaba na normalną dawkę nasennika, a on nie mógł tego przewidzieć. Z drugiej strony, po co to wszystko? Nie raz rodziłaby jeszcze kocięta i swobodnie biegała po ogrodach, zamiast zdychać na stole operacyjnym, bezbronna i poniżona.

Czoło pokrył mu chłodny pot. Nieruchomy chłopak po drugiej stronie stołu, mrużący swoje kocie oczy nad umierającym ciałem nie dawał mu spokoju. Doktor odrzucił strzykawkę

i szybkimi, energicznymi ruchami dłoni zaczął ugniatać klatkę piersiową zwierzęcia, czując jak kości uginają się pod jego palcami.

Ożyj, bydlaku, błagał w milczeniu, zaczynając rozumieć, że prowadzi go teraz już coś więcej niż zawodowy obowiązek, że czuje w długich paznokciach chłopaka po tamtej stronie jakąś groźbę, niejasne ostrzeżenie, prośbę i rozkaz jednocześnie. Paznokcie chłopca zagłębiły się wyraźnie w cienkiej warstwie blachy pokrywającej stół; doktor odniósł wrażenie, iż chłopak ściska blat całą siłą swoich kobiecych dłoni, jakby wyzwalał w ten sposób energię potrzebną do ożywienia kotki, i właśnie wtedy poczuł pod palcami pierwsze delikatne uderzenia serca.

Uderzenia były słabe lecz doktor uczeplił się ich, przywarł do nich, słyszał jak pulsują w jego własnych skroniach. Chłopak odsunął się krok od stołu i patrzył, nieruchomy jak posąg. W kotce tliło się życie, mała iskra, którą można było rozdmuchać w płomień, więc doktor włożył w to wskreszenie całą swoją wolę i wyobraźnię. Wiedziony instynktem i doświadczeniem, bez wahania przyłożył usta do wyschniętego pyszczka i wdmuchnął w kocie płuca sporą dawkę zaczerpniętego przed chwilą powietrza. Dotknął dwoma palcami tętnicę na szyi i, czując poprawę, powtórzył zabieg kilkakrotnie. Po chwili kotka była już bezpieczna.

— Wszystko dobrze, no, już dobrze... — uspokajał siebie samego weterynarz. Cieszył się, że kotka przeżyła; w końcu, zawsze czuł się lepiej gdy udało mu się uratować zwierzę, tym razem jednak było to coś więcej. Chłopak wyglądał na zadowolonego, i doktor odczuł z tego powodu wyraźną ulgę. Trudno było ogarnąć sekwencję pastelowych doznań przenikających jego własną świadomość w ciągu minionych sekund, odebrał jednak jako pewnik niepokojącą aurę, którą tworzyli wokół siebie chłopak i kotka. Tak, oboje, to jasne, chłopak z kotką uzupełniali się wzajemnie, osiągając energetyczne porozumienie

poza świadomością weterynarza, jakby nadawali na wspólnej częstotliwości, która bardzo przeszkadzała doktorowi. Było za późno, żeby się wycofać. Właściwie, nawet przez chwilę nie istniała taka możliwość.

Powrót do rutynowych czynności. Pasy, którymi trzeba umocować łapy kotki w metalowych uchwytach przy narożnikach stołu. Nożyczki i maszynka z żyłką, by usunąć sierść z podbrzusza. Ukrzyżowany, bezwładny Chrystus, nagi i owłosiony z ogonem. Wąskie szparki zakrytych białą mgłą oczu i powolne, dokładne cięcie skalpelem zanurzonym w tłuszczu brzucha po rękojeść, nie dłuższe jednak niż dwa, może trzy centymetry. Dalej wszystko miało pójść bez żadnych problemów, zwyczajny zabieg jakich wiele: podwiązać jeden z jajników, wyciąć tkankę łączną drugiego, by w końcu uważnie zaszyć ledwie krwawiącą jamkę rozpuszczalną chirurgiczną dratwą.

Chłopak stał nad kotem i milczał, śledząc wzrokiem uwiijające się różowe palce, które, mimo wszelkich prób kontroli, drżały niespokojnie. Zabieg zbliżał się do końca, i doktor, im mniej zostało mu do zrobienia, tym większej nabierał pewności, że kiedyś już czuł na swoich dłoniach podobne spojrzenie, że poznaje to palące świerzbiecie na skórze, a nawet więcej, że kiedyś już operował to ciało, że poznaje — cóż za absurd! — te wnętrzności, mdlący zapach delikatnie wydzielający się z kocich trzewi. Czuł też wyraźnie, że zaczyna coraz intensywniej odbierać ich fałę, że chłopak z kotką chcą mu coś przekazać, coś mu dać do zrozumienia, odkurzyć w nim jakąś zasnutą pajęczynami komórkę pamięci. Cały ten zabieg, ta niezapowiedziana wizyta, mimo jej oczywistej realności, była tylko pretekstem zmuszającym go do spojrzenia w żółtozielone oczy, prowokującym rozładowanie czegoś, co poza świadomością doktora spiętrzało się między nimi. Chciał jak najszybciej zakończyć tę sprawę, usiąść samotnie za biurkiem i czekać aż zagotuje się woda na herbatę, by potem wrócić do

psych robaków i suchych nosów. Właśnie sypał na świeże, gotowe już szycie dezynfekujący proszek z małej fiołki, kiedy chłopak odezwał się cicho.

— Pracował pan kiedyś w ambulatorium Akademii Rolniczej, prawda?

Było to zbędne pytanie. Obydwaj wiedzieli, że to prawda, i doktor nie widział powodu, dla którego miałby zaprzeczyć. Dopiero niedawno, wraz z kilkoma kolegami otworzył tę prywatną spółdzielnię, by leczyć zwierzęta na własny, nie państwowy, rachunek.

— Już kiedyś kroił pan mojego kota — powiedział chłopiec, a twarz jego stała się blada jak papier. Lodowaty dreszcz przeszedł doktora po krzyżu.

— Doprawdy? — zapytał szorstko, broniąc się, gdyż nie było go stać na żadną rozsądną odpowiedź.

— Moja kotka miała przepuklinę.

Doktor chrząknął po raz kolejny tego ranka.

— Czy to ona? — mruknął odpinając jeden z pasków krępujących przednie łapy zwierzęcia. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni leczył kota z przepukliny lecz w głowie miał pustkę.

— Nie, ale pochodziła z tej samej podwórkowej rodziny. Czarna kotka o żółtych oczach, taka sama jak ta tutaj.

Doktor nerwowo odpinał kolejne pasy, zaczynając rozumieć z lękiem, że — chociaż nie pamiętał tamtego zabiegu — zapach, jaki czuł dzisiaj pochylając się nad otwartym kotem, był zapachem przepukliny. Czuł, że boi się dalszej rozmowy.

— Nasza kotka męczyła się bardzo, więc przyszliśmy do pana któregoś dnia, ja i moja młodsza siostra — ciągnął chłopak bezbarwnym, nagle zmęczonym głosem. — Miałem nie więcej niż jedenaście lat, a moja siostra dziewięć; w ambulatorium czuć było mocno zwierzęcymi wydzielinami, paliły się jasne szpitalne lampy. Potraktował nas pan jak asystentów i kazał trzymać nam kotkę za łapy, cały czas, w trakcie zabie-

gu. Uśpił ją pan niedokładnie, przeciął skalpelem brzuch i zaczął wyciągać żółtą cuchnącą maź pełnymi garściami. Wyciągał ją pan i wyciągał, myśleliśmy, że nigdy się to nie skończy. Kotka raz po raz wyszarpywała się, unosila głowę i patrzyła zamglonymi oczami na mnie lub na siostrę, która znosiła to wszystko bardzo dzielnie. Wielka szpitalna lampa świeciła mi prosto w oczy, bolała mnie głowa i było mi niedobrze. Wtedy zaproponował pan sterylizację, żebyśmy nie mieli już więcej kłopotów z małymi, a my zgodziliśmy się bez chwili namysłu, skoro była możliwość zrobienia tego przy okazji. W połowie zabiegu musiałem wyjść z sali, bo przed oczami miałem czarne plamy, a pan żartował, że moja siostra jest dzielniejsza ode mnie. Wszedłem na dwór i nacierałem twarz śniegiem nie mogąc zwymiotować; był grudzień i poprzedniej nocy padało. W domu, kotka leżała w kącie pokoju i miauczała, a w nocy zdechła na kolanach mojej siostry.

Przez dłuższą chwilę w gabinecie panowała grobowa cisza. Doktor usiadł za biurkiem i wystukiwał palcami bezgłośnego marsza na okładce kalendarza. Patrzył uważnie na chłopca, jego nagły monolog odsłonił przed weterynarzem przyćmione, bliżej nie sprecyzowane obrazy, dodając mu, wbrew jego własnym przeczuciom, odrobinę odwagi.

— To było tak dawno — powiedział doktor cichym głosem. — Dzieci na wszystko patrzą inaczej.

— Tak, z pewnością ma pan rację — odparł krótko chłopak, jakby w ogóle nie chciał słuchać wyjaśnień mężczyzny za biurkiem. — Czy mam przyjść z nią do zdjęcia szwów za jakiś czas? — zmienił nagle temat.

— Nie — odpowiedział doktor z wyraźną ulgą — szwy same się rozpuszczą. Dziś kotka będzie jeszcze w szoku po nasenniku, trzeba na nią uważać, od jutra jednak powinna szybko wracać do siebie. Dam ci jeszcze maść, żeby rana lepiej się goiła.

Długą chwilę siedzieli w milczeniu, czekając aż kotka odzyska świadomość, by następnie, po krótkich oględzinach,

umieścić ją z powrotem w torbie turystycznej, w której została przyniesiona.

— Ile się panu za to wszystko należy? — zapytał w końcu chłopak, chowając do kieszeni kurtki fiolkę z żółtą maścią na ranę.

— Nie, nie — odpowiedział szybko doktor wyrwany z zamyślenia. — Zostawmy to, proszę...

Chłopak podniósł torbę z krzesła. Chwilę stał nieruchomo, patrząc na weterynarza. Powoli, jakby niechętnie, ruszył w kierunku wyjścia.

— Bardzo się cieszę, że dzisiaj się panu udało, doktorze — rzucił od drzwi, uśmiechając się delikatnie i szybko wyszedł z gabinetu, zostawiając za sobą chłodny powiew z kilkoma wirującymi płatkami śniegu oraz doktora, który — zapatrzonej w swoje odbicie w ciemnej szybie okna — z dużym zdumieniem spostrzegł, że na dworze ciągle jeszcze nie zrobiło się jasno.